ROCZNIK IV. Nr. 12 (86) 15 CZERWCA 1905.

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK
SPOŁECZNO-LITERACKI

REDAKCYA: KRAKÓW, RYNEK 13.
ADMINISTRACYA: GRODZKA 50.

TREŚĆ:

PRENUMERATA WYNOSI KWARTALNIE: 3 KORONY, 3 FRANKI 50 CENTIM.; 3 MARKI; 1 RUBEL 50 KOP.
GŁÓWNY SKŁAD NA WARSZAWĘ:
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERA I SKI, MARSZAŁKOWSKA 143.

ZJAZD ABSTYNENTÓW W KRAKOWIE.

We wszystkich krajach, w których ruch abstynencki się szerzy, znajduje on silne poparcie w organizacyach i stowarzyszeniach kobiecych. Zdaje się, że w miarę wzrastania udziału kobiet w sprawach publicznych wszelkiego rodzaju propaganda etyczna, zyskuje na rozlewności i rozpędzie. Rolą, kobiet będzie prawdopobnie asanizacya stosunków społecznych, przez walkę z alkoholizmem, prostytucyą, słowem temi plagami, które ród ludzki do zwyrodnienia prowadzą. Będzie to więc w szerszem i głębszem znaczeniu działalność wychowawcza, czuwanie nad normalnym i bujnym rozwojem istoty ludzkiej.

Nic dziwnego też, że w zjeździe abstynentów, kobiety uczestniczyły dość licznie, że główną organizatorką i inicyatorką zjazdu była kobieta, zasłużona na polu propagandy abstynenckiej p. Zofia dr. Daszyńska Golińska.

Program zjazdu był obfity, a udział uczestników dość liczny. Pierwszy dzień poświęcono stronie informacyjnej. Z całego szeregu referatów uczestnicy mogli sobie wyrobić pojęcie o historyi propagandy antyalkoholicznej, jej obecnym stanie w różnych dzielnicach Polski, zarówno jak o rozwoju alkoholizmu w tychże dzielnicach. Jedno z drugiem koniecznie zestawiać potrzeba, chcąc się od błędnych wniosków uchronić. Tak np. gdyby nie ostatni żywiołowo powstały i szybko rozwijający się prąd abstynencki w Królestwie, mający bądź co bądź tło polityczne, propaganda trzeźwości tam najskromniej się przedstawiała. Stowarzyszeń wstrzemięźliwości nie było prócz kuratoryów trzeźwości, które — sądzę – zbyt jednostronie na zjeździe oceniane były. Prawda, że organizowane przez rząd, miały one służyć przedewszystkie propagowaniu lojalności względem dynastyi, niemniej i dla abstynencyi samej nie pozostały bez znaczenia. Bądź co bądź skasowanie szynków i zmonopolizowanie sprzedaży wódki w sklepach rządowych, nie możność picia na miejscu, wywołało z konieczności zakładania gospód i herbaciarni bezalkoholowych w miastach i miasteczkach, a organizowane przez kuratoryum zabawy na Pradze, przyzwyczajały ludność do bawienia się bez trunku. Nie myślę przeceniać znaczenia kuratoryów, które dla bardzo zrozumiałych powodów były dla

ogółu niesympatyczne, stwierdzam tylko, że dzięki postawionej przez nie zasadzie, istniały w Królestwie takie urządzenia, które gdzieindziej dopiero propaganda abstynentów stwarzać musi. Nie ich to jest zasługą zapewne, ale statystyka stwierdza, że ludność Królestwa Polskiego jest najmniej pijacką we wszystkich odłamów polskiej ludności. Roczna konsumcya alkoholu na głowę wynosi tam niespełna 3 litry, w Galicyi $4^1/_2$, w Poznańskiem $7^1/_2$. Widzimy, że Poznańskie i pod tym względem najsmutniej się przedstawia i tu otwiera się przed kobietami poznańskiemi ważne, a odłogiem leżące i mocno zachwaszczone pole działalności. Kto wie, czy otrzeźwienie społeczeństwa poznańskiego nie pozwoliłoby mu się otrząsnąć z tego przyćmienia umysłowego, które tak smutno uderza tam rodaków z innych dzielnic i boleśnie odbija się na wewnętrznych stosunkach tego kraju. Niemcy dają pod tym względem Polakom bardzo zły przykład, ale gdyby Polacy ocknęli się pierwsi, gdyby wśród siebie wytępili pijaństwo zyskaliby ogromną przewagę moralną nad Niemcami, a ich odporność przeciw germanizacyi niezawodnie wzrosnąć by musiała, gdyż trzeźwość potęguje pod każdym względem żywotność społeczeństwa i trzeba przyznać słuszność księdzu Niesiołowskiemu, gdy mówił, że pijaństwo więcej złego wyrządza ludności poznańskiej niż hakatyzm. Niewątpliwie oczyszczenie Augiaszowej stajenki poznańskiego knajpiarstwa, wymagać będzie istotnie herkulesowych wysiłków. Ale czegóż nie dokaże zjednoczona energia licznego zastępu kobiet, a w tej działalności mogłyby się one połączyć wszystkie bez różnicy sfery i przekonań. Niejaką pomoc mogłyby już dziś pozyskać w kółku księży abstynentów, które się tam zawiązało i z trudem propagandę swą prowadzi, skarżąc się na obojętność świeckiej inteligencyi, mianowicie najcenniejszych dla takiej akcyi, sprzymierzeńców lekarzy. Wstyd zaprawdę, że j e d y n a na Poznań kawiarnia bezalkoholowa założona przez stowarzyszenie „Jutrzenka“ mimo subwencyi upaść musiała.

Choć statystyka innych dzielnic wykazuje ich wyższość nad zaborem pruskim, to jednak i tam pozostaje niezmiernie wiele do zdziałania. Trzy galicyjskie stowarzyszenia wstrzemięźliwości: „Eleuterya“, „Eleuzis“, i „Trzeźwość“, założone w r. 1902 wykazać mogą już pewne owoce swej działalności. Najpomyślniej rozwija się „Eleuterya“, posiadająca dziś 13 filli w różnych miastach Galicyi i ogółem 3084 członków. W przeciwieństwie do dwóch innych, z których „Eleusis“ jest ściśle katolicką według katolicyzmu wyznawanego przez prof. Lutosławskiego, „Trzeźwość“ socyalistyczna. — Eleuterya nie posiada żadnego religijnego czy politycznego charakteru, co swoją drogą naraża ją z różnych stron na nieusprawiedliwione zaczepki. Najostrzej skierowało się przeciw niej duchowieństwo, zarzucając jej bezwyznaniowość, a jej najzapalczywszym przeciwni-

kiem jest ks. Wesoliński, redaktor Niedzieli. Eleuterya na zjeździe opierała ten zarzut stwierdzając, że wbrew podejrzeniu księdza W. nie pozostaje w żadnym związku z masonami i nie jest towarzystwem bezwyznaniowym, tylko łączy ludzi bez względu na ich religijne i polityczne przekonania. Właściwie zapytać by można, jaka w tem różnica? Towarzystwo, które nie stoi na gruncie żadnego wyznania, logicznie rzecz biorąc jest bezwyznaniowem lub niewyznaniowem – jak kto woli – i znowu logicznie rzecz biorąc, nie powinno się tego wypierać. Ale klerykali zdołali w oczach ciemnego ludu i niejasnej inteligencyi tak zohydzić sam ten wyraz, że dla niekrytycznych uszu brzmi to tak, jak „trędowaty". Jednakże trzebaby zwalczać tę bezkrytyczność i te przesądy eufoniczne, trzebaby uczyć ludzi nazywanie rzeczy po imieniu i stawiania kropek nad i, trzebaby brać przykład z doktora Wróblewskiego, który wobec napaści księdza W. na „Dobrych Templaryuszy", wystąpił na trybunę i powiedział: „Ja jestem dobrym Templaryuszem". Takich nieprzyjaciół jak ks. W. nie przejedna się połowicznemi ustępstwami. Zostają tylko dwie drogi. 1) Albo zejść z tego pięknego stanowiska objektywnego i naukowego, które Eleuterya sobie zakreśliła, a które się wyraziło w przemówieniu ks. Gedroica: „Templaryusze żądają od swych członków wyznania wiary w Boga, my i tego nie żądamy, jak nie żąda tego doktór od pacyenta, którego leczy". Zeszedłszy z tego stanowiska, trzebaby iść pod komendę księży, wykluczać niekatolików i niewierzących i uznać, że wstrzemięźliwość jako cnota należy tylko do katechizmu, jak mówi ks. W., 2) stać twardo i śmiało przy swojem, na insynuacye i zaczepki nie reagować, a wtedy i duchowieństwo zaprzestanie ich, widząc ich bezskuteczność i samo się toleracyi nauczy.

Działalność galicyjskich stowarzyszeń wstrzemięźliwości zdołała już wpłynąć na zmniejszanie się konsumcyi alkoholu. Niemniej niezmiernie wiele zostaje jeszcze do zrobienia, a tak pomyślny początek pozwala wróżyć dobrze o dalszych rezultatach akcyi tak świeżej jeszcze – a jednak już owocnej.

Dr Gumplowicz mówił o ruchu abstynenckim w Królestwie i o jego związku z kwestyą robotniczą. Niezmiernie szybkie szerzenie się tego ruchu w obecnej porze świadczy, jak blisko jest on związany z dążeniami szerszemi, które tam ogarniają i zapalają masy. Cały przebieg obrad zjazdu potwierdza zdanie dra Gumplowicza, że alkoholizm idzie w parze z życiem bezcelowem, zanika i bywa nawet zwalczany wszędzie tam, gdzie ludzie dążący do jasno określonych celów, widzą w nim wroga swych wyższych aspiracyj, wroga skrytego lecz nieubłaganie tępiącego te siły fizyczne i psychiczne, które służbie idei poświęcić należy.

Wystąpienia zwolenników różnych partyj, nieuniknione w każdem

bezpartyjnem zgromadzeniu dążyły do wykazania, że propaganda trzeźwości najskuteczniej prowadzona być może pod tym sztandarem, który oni w ręku dzierżą. Katolicy reklamowali pierwszeństwo dla katolicyzmu, socyaliści dla socyalizmu i t. d. Zwolennicy abstynencyi z wielkim zadowoleniem przyjęli wiadomość, że towarzystwo „Trzeźwość“ rozpocznie z wielką furyą kampanię przeciw alkoholizmowi wśród ludu roboczego.

Poranek następnego dnia poświęcono referatom naukowym. Prof. dr Pilc mówił o stosunku alkoholizmu do chorób umysłowych, dr Eizenberg o jego stosunku do chorób zakaźnych, dr Kunicki ze Śląska o jego wpływie na sprawność roboczą organizmu. Wszystkie te trzy niezmiernie pouczające referaty zasługują na to, by rozpowszechnić je w druku. Wśród zebrania krążyła między publicznością odezwa 200 lekarzy galicyjskich, wzywająca do zaprzestania używania alkoholu i stwierdzająca jego szkodliwość dla zdrowia. Wypowiedzenie się tak kompetentnych powag, posiada dla propagandy abstynencyi niezmierną doniosłość, a poparcie lekarzy najskuteczniej przyczynić się może do wpajania w szeroki ogół przekonania, że alkohol należy do trucizn, wolno wprawdzie, lecz nieuchronnie podkopujących organizm. Dr Bujwid w swojem przemówieniu stwierdził rozpajanie ludu przez inteligencyę w formie poczęstunków i napitków i zwrócił uwagę na pewne hygieniczne przeciwdziałania zarazie alkoholizmu, na potrzebę dostarczania ludowi dobrej wody do picia i tanich owoców.

Występ prof. Lutosławskiego, który pojawiwszy się niespodzianie, wykonał istny atak torpedowy na bezbożną naukę europejską na „bezwyznaniową“ Eleuteryę, na całą hygienę z przyległościami tj., naukami przyrodniczemi, nawoływał do wiary – lub do jej kłamania w razie potrzeby według cytowanych przez siebie wzorów – uczynił pewną dywersyę w poważnem choć ożywionym zgromadzeniu. Była to jednak bomba, która nie pozostawiła trupów ani rannych. Abstynentom różnych grup dała ona tylko pole do zaznaczenia swej niechęci dla kierunku reprezentowanego przez oryginalnego profesora, a swej zupełnej solidarności z potępioną przez niego nauką europejską. Księża zaś, którzy słuchali tej osobliwej propagandy wiary przycichli, wzdychając na znaną nutę: „Strzeż mnie, Boże, od moich przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę“ (nb. ks. Wesolińskiego już wtedy nie było).

Długą i ożywioną była dyskusya wychowawcza na temat propagandy wśród dzieci i młodzieży. Prof. Wróblewski odbył z dziećmi lekcyę próbną o szkodliwości alkoholizmu i wraz z kilku paniami zdawał sprawę z rozwoju dziecięcego kółka abstynenckiego, założonego przez Eleuteryę. W zasadzie zjazd uznał potrzebę zakładania takich kółek, zwracano jednak uwagę na konieczność uwzględniania w nich wskazań pedagogii i hygieny.

Zjazd uchwalił tak olbrzymią moc rezolucyj, że samo spisanie ich, przekroczyłoby ramy zakreślone niniejszej pracy. Wszystkie one dotyczyły różnych środków przeciwdziałania alkoholizmowi, środków, których towarzystwa wstrzemięźliwości nigdy z oka nie spuszczają, ale których wprowadzenie w życie wymaga czasu, trudu, nakładu, a wreszcie licznego udziału szerokiego ogółu w propagandzie abstynenckiej. To ostatnie byłoby rzeczą bardzo pożądaną, a nie wątpię, że ostatni zjazd bardzo się przyczyni do liczebnego powiększania już istniejących stowarzyszeń.

I. Moszczeńska.

PRACA KOBIET I DZIECI

W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI.

Wyjątek z pamiętnika p. Vorst.

Autorka niniejszego pamiętnika, to osoba, należąca do „najlepszej sfery społeczeństwa“, co wiedziona chęcią zapoznania się z warunkami i otoczeniem pracujących kobiet, a następnie przeciwdziałania strasznemu położeniu, wyrzekła się swego otoczenia i udała się przebrana w bluzę robotniczą na wielkie pobojowisko pracy, do Pitsburga, Chicago i Columbii. Spostrzeżenia swe i uwagi wydała pod tytułem „The Woman who toils“ (Kobieta jako robotnica).

Książka ta, co prawda, nie wolna od klasowych przesądów, maluje przecież w dokładnych i rzeczywistych barwach, wrażenia otrzymane. Wznieciła prawdziwa burzę wśród dam „towarzystwa“ rozprawiających w salonach, o poprawie doli pracującej kobiety, i wyzyskiwanego przez dzisiejszy ustrój kapitalistyczny dziecka. Jest ona najlepszym dowodem, iż reformy społecznej, załatwiać nie można w gabinetach, ale że trzeba z życiem iść w parze, że nie można myśleć o półśrodkach i „reformach“ tam, gdzie ukazuje się potworne dno nędzy.

Pani van Vorst opowiada o stosunkach zupełnie zbliżonych do naszych:

Poza Kolumbią znajduje się pięć fabryk z przynależnemi sobie osadami, Excelsior Granton, Kalkuta, Reichland i Capital City. Każda z tych fabryk szczyci się przynależną sobie osadą, jakie spotykamy i w naszych koloniach fabrycznych.

Robotnicy fabryczni rekrutują się przeważnie z ludności pracującej. Są to zwłaszcza mieszkańcy gór, których tutaj zwabiają agenci towarzystw, malując przyszłym białym murzynom pracę fabryczną, jako drogę do majątku i zamożności. Marzeniem o bogactwie i szczęściu dla siebie i rodzin swych omamieni biedacy, opuszczają swoje odległe osady i gromadnie spieszą do fabryk. Wzruszającym jest widok tych przybyszów,

których całym majątkiem jest tobołek podróżny w rękach, lub na plecach niesiony. Młode dziewczęta z gołemi głowami, często z kwiatami we włosach, bose, nieświadome, często naiwne, spieszą jednak pełne nadziei. Po rozmowie z fabrykantem lub jego pełnomocnikiem, marzenia i nadzieje pryskają jak bańki mydlane, a bezbrzeżną rozpacz tych ludzi rozumieć może tylko ten, kto zżył się z nimi, kto z nimi pracował, kto umiał poznawać tragedye ich życia. Gromada wędrująca z Granton do Excelsior, z Excelsior do Richlana w poszukiwaniu za lepszemi warunkami życia. Z tubylcami nie mają oni nic wspólnego, gdyż ci spoglądają na nich, jako na szumowiny społeczne, a osadę fabryczną omijają jak zapowietrzoną. To wcale nie zasilne wyrażenie, gdyż nory te, mające tytuł mieszkań, to siedliska brudu, niechlujstwa i zaraźliwych chorób.

Mieszkania budowane na jedną modłę. Domy wznoszące się na słupach, nad ziemią zionącą malaryą, pociągnięte zieloną iub żółtą farbą.

Umysł budowniczego nie wysilał się tutaj zbytnio, mając na względzie wystawienie jak największej liczby mieszkalnych pokoi. Domy te znane są pod nazwą czworaków, lub sześcioraków.

W prostej odzieży siadam do tramwaju elektrycznego odchodzącego z Kolumbii do zakładów fabrycznych. W wyborze Excelsioru jako miejsca mych zadań, powodowałam się tem, iż ono najlepiej odpowiadało moim zamiarom. Nim tramwaj dobiegł miejsca swego przeznaczenia, już zdala dolatują mię odgłosy. Te ryki, grzmoty i wycia, sprawiają wrażenie trzęsienia ziemi. Z wyglądu i w rzeczywistości największa to fabryka świata. Bajeczne cudo praktycznego budownictwa. Z podręcznika dowiaduję się, iż zatrudnia ona 104.000 wrzecion, mając obecnie 1200 rąk roboczych, a mogąc ich mieć 3000, reprezentuje kapitał zakładowy w wysokości 1,750.000 dolarów. Fabryka imponuje mi swoją okazałością, swojemi wieżycami wznoszącemi się w pośrodku, swoją barwą czerwonych cegieł, przerażając mię zarazem ciągłym swoim hałasem, brzękiem, stukotem, zalatującym aż do mnie". Z łatwością udaje się autorce znaleść zatrudnienie, a po mozolnych poszukiwaniach, znajduje również mieszkanie i pożywienie w brudnym i odrażającym domu, a po przywiezieniu tobołka udaje się do swego mieszkania.

„Drabiniaste schody prowadzą wprost z kuchni do tego mieszkania. Do czego jednakowoż podobna owa „sypialnia". Obok siebie stoją trzy łóżka o zapadłych siennikach, pokrytych lichemi kocami. Podłoga z prostych desek, ściany bez żadnych ozdób. Przekonałam się jednakowoż potem, że dom mój, należy do najczyściejszych w Excelsior, a przecież jak daleko tutaj do skromnego chociażby komfortu, do zaspokojenia nawyczek. Na ścianach porozwieszane suknie moich współmieszkanek.

Jakie skromne, wzruszające upiększenie ścian — prawie że łachma-

ny — kilka chustek, płaszczy, bawełniane ranne okrycie, kapelusz. Składam mój węzełek obok łóżka, które dzielić mam z towarzyszką i udaję się na obiad".

„Obiad, tych po trzynaście godzin pracujących mężczyzn i kobiet, składa się z kawałka mocno solonej wieprzowiny i szpinaku oblanego tłuszczem".

Nową robotnicę wprowadzają do przędzalni, gdzie pierwszej lekcyi udziela jej młode szesnastoletnie dziewczę.

„Przędzenie wymaga wielkiego natężenia lewej ręki, a szczególnie lewej strony ciała. Choroby serca są przeto bardzo częste u starszych robotnic. Tkanie odbywa się w pozycyi stojącej, gdy nie odbiera się równomiernie nici, trzeba następnie nadrabiać to ciągłemi poruszeniami ciała. Praca sama nie skomplikowana, wymaga bowiem tylko doglądania w ruchu będącej tutaj maszyny, zatrudnionych więcej tutaj jest dzieci, jak dziewcząt, więcej zaś dziewcząt jak dorosłych kobiet".

Nauczycielka nie troszczy się wiele o swoją uczennicę, biega wszędy, znikając nawet na dłuższy przeciąg czasu.

„Koło południa wraca, trzymając w ręce pudełko blaszane z ciemnym proszkiem. „Może zechcesz skosztować?" Zapytuję o treść, w odpowiedzi na moją nieświadomość, otrzymuję całą skalę śmiechu. W jednej chwili cały zastęp dziewcząt opuszcza pracę i grupuje się w półkole koło nas. „Ona nie zna jeszcze tego", reszta słów tonie, — gdyż moja nauczycielka wypełniła sobie całe usta proszkiem. Za chwilę dowiaduję się, iż jest to tabaka. Do naczynia dobierają się wszystkie kobiety bez względu na wiek, a nawet dzieci. Nakładają sobie garściami pod język, a następnie opluwają całą podłogę. Atmosfera pokojowa pełna bawełnianego pyłu, chociaż tkanina ma posiadać najczyściejsze powietrze.

Mikroskopowe cząsteczki dostają się do płuc, wywołując choroby, jak zapalenie i suchoty, plagę osad fabrycznych. Kaszlące dziewczęta spluwają na podłogę i to tak obficie, iż cała pokryta jest wstręt wzbudzającą warstwą, nieletnie dziewczęta zawczasu wprawiają się już do plucia i dochodzą w tym kunszcie do mistrzostwa. Tylko u młodszych dziewcząt zauważyć można objawy ruchliwości. Starsze pogodziły się ze swoim losem i zapadają w martwą apatyę. Nie umieją przeważnie ani czytać, ani pisać, stan kulturalny jest ogromnie niski, fabryka jest jedyną szkołą, a wszelakich wiadomości nabywa się od koleżanek. Mieszkają albo u rodziców, lub u braci, także robotników; część mieści się po gospodach, gdzie moralność wystawiona jest na ciągłe niebezpieczeństwo. Gdy zapytam szesnasto lub siedemnasto letnią dziewczynkę, czy fabryka podoba się jej, otrzymuję bezzwłocznie odpowiedź: „nie nawidzę jej z całej duszy".

W mieszkaniu przygotowano już wieczerzę, na długich deskach ustawionych wzdłuż ściany, obok znajdują się ławy, również proste deski, wyginające się w pośrodku. Na jednej z misek znajduje się ryba, ugotowana wraz z kościami i skórą, oblana podejrzanie woniejącym sosem, na drugiej solona wieprzowina, kukurudza na trzeciej.

Córka mojej gospodyni, jest niezwyczajnie ożywiona i opowiada przy stole różne nowinki, między innemi wtrąca następujące słowa: „Idę o zakład z wami, iż nikt z was nie widział podobnej walki, jaka miała miejsce u nas w fabryce“.

Całe towarzystwo ożywia się natychmiast, a nawet zobojętniali mężczyźni nadstawiają ciekawie uszy.

Zaczyna się opowiadanie, oto Amanda Wilkox ofiarowała się iść odprowadzić Idę Jakobs, ta zgodziła się chętnie. Powodem był Bill James. Oto on, w ostatnich trzech tygodniach oprowadzał zawsze Idę, co do pasyi doprowadzało Amandę. Postanowiła popsuć jej szyki. W tym celu opowiedziała jej zmyśloną bajeczkę, twierdząc, iż Bill towarzyszył jej w ostatnią niedzielę w przechadzce po parku. Zaprawdę mówię wam, cała fabryka rozbiegła się by przypatrzeć się, co też zrobi Ida. Ona jak szalona rzuciła się na swą przeciwniczkę. Jeden z robotników przegrodził je ręką, mówiąc, która pierwsza z was napluje, ta rozpocznie walkę. Obydwie splunęły równocześnie, a od tej chwili nie można ich było rozerwać. Ida chwyciła Amankę za włosy, ta zaś wymierzyła jej cios w piersi. Gdyby nie interwencya mężczyzn, byłyby się z pewnością pozabijały. Zaciekłość ich była tak wielka, iż trzech mężczyzn zdołało dopiero rozerwać je. Powiadam wam, iż Ida nie będzie mogła, z powodu słabości przez parę tygodni pracować.

Właściciel objaśnia p. Jones, sposób wypłaty robotników przez towarzystwo. „Niektórzy z robotników jak miesiąc długi, nie widzą wcale pieniędzy. Wypłata odbywa się co dwa tygodnie w następujący sposób: Jedna z robotnic ma 122 godzin pracy. Domy mieszkalne są w rękach towarzystwa, i temuż opłaca się najm. W sklepach również własności towarzystwa, można dostać wszelakich produktów niezbędnych do życia i ubrania. Towarzystwo płaci książeczkami kuponowemi, równoznacznemi z brzęczącą monetą. Książeczki te mają wszędzie swoją wartość, również dobrze płacić można niemi mieszkanie, jak i środki spożywcze, książeczka ta jest zapłatą za pracę. Jeśli ktoś zachoruje, strąca mu towarzystwo wszelkie dni nie odrobione. Jeśli ktoś ze zmęczenia i osłabiony, zostanie choćby jeden dzień w domu, zaraz zjawia się odpowiedni wysłannik fabryki i zmusza ludzi do wstawania, choć ktoś jest śmiertelnie chory, mimo to wywłóczą go z łóżka i przemocą ciągną do maszyny“.

Dokończenie nastąpi

KORESPONDENCYA.

Lwów, 8. czerwca 1905.

Artykuł pani Moszczeńskiej, zamieszczony w XII. „Nowego Słowa“ zatytułowany: „Uwagi na czasie w kwestyi szkolnictwa w Kongresowem Królestwie Polskiem“, przypomniał mi moją walkę, legalną, którą prowadziłem z przełożonymi gimnazyum męskiego w Kamieńcu Podolskim, dyrektorem gimnazyum Firsowym i inspektorem Puczkowskim, z powodu zaprowadzonego przez nich policyjnego reżimu w gimnazyum. Było to temu lat więcej 10 przy ministrze oświaty hr. Delanowie, który uwzględnił moje zażalenia i translokował owych panów policyjnych pedagogów w głąb Rosyi.

Ośmielony tem, popróbowałem złożyć hr. Delanowi mój projekt reformy szkolnej, w którym głównie zwracałem uwagę na zaprowadzenie przy szkołach lekarzy szkolnych dla męskich — mężczyzn, dla kobiecych — kobiet. Władze naczelne w Rosyi medyczne, w osobie śp. bardzo zacnego człowieka, mego osobistego przyjaciela, dra Szmielowa, obiecały mi swoje poparcie, gdy projekt mój zostanie przesłany z ministerstwa oświaty na konkluzyę departamentu medycznego. Ale starzec hr. Delanow nie zdecydował się podnieść tak ważną sprawę, a gdy ja nastawałem, ażeby dał pozwolenie wydrukować mój projekt, odesłał mię do cenzury, cenzura zaś skonfiskowała rękopis. Wkrótce umarł hr. Delanów, jego miejsce zajął Boholepow, a ja temu znów przedłożyłem ów mój projekt, on wyznaczył niezwłocznie komisyę — i lekarze szkolni, po kilku latach, zostali wprowadzeni do średnich naukowych zakładów i już czytałem ich sprawozdania! Reszta projektu nie była zrealizowaną.

Otóż teraz nasze społeczeństwo tentujące o zorganizowanie szkoły narodowej, powinno przedewszystkiem pamiętać, że bez fizycznego wychowania — wszelkie pedagogiczne eksperymenty będą na nic. Tylko w zdrowym ciele, może znaleść siedlisko zdrowa dusza. Zatem instytut lekarzy szkolnych powinien być zastosowany koniecznie!

Lekarz czy lekarka szkolni powinni być nietylko wykształceni w naukach medycznych i znać dobrze pedagogię, ale powinni być abstynentami, nieużywającymi ani alkoholu ani tytoniu i swoim postępowaniem i życiem, powinni być wzorem życia hygienicznego. Nadto powinni to być ludzie łagodni i umiejący posiąść zaufanie i przywiązanie młodzieży szkolnej.

Tak lekarz czy lekarka, przy przyjęciu ucznia czy uczennicy do naukowego zakładu, zapisują elewa do książki, opisując detalicznie stan jego fizyczny, wskazując mu, jak się ma zachować hygienicznie. W ciągu całego pobytu elewa w naukowym zakładzie, stale śledzą jego fizyczny rozwój i dają mu jego rodzicom lub opiekunom wskazówki co do zachowania, nieraz szczególnych przepisów hygieny. Lekarz odwiedza lokale zamieszkałe przez uczniów, i przeprowadza wykonanie przepisów hygieny, w pomieszkaniach, przy udzielaniu pokarmów, jak co do jakości tak i co do ilości. On też od pierwszej klasy wykładu, stosuje do wieku, hygienę. W radzie pedagogicznej on ma pierwszy głos i daje wskazówki co do rozwoju umysłowego pewnego osobnika i zdolności jego przy pracy, pilnując ażeby nie dopuszczano zmęczenia umysłowego, co bardzo szkodliwie działa na rozwój organizmów młodocianych. Przy wykroczeniach, też daje swą opinię: czy nie pochodzi to z nerwowego rozdrażnienia, zwykłego przy rozwoju mlecza pacierzowego i t. p....

wywołującego niepoczytalność działającego i dając zarazem kolegom pedagogom wskazówki, jak należy postępować z podobnemi jednostkami. Najbardziej zwraca uwagę na młodzież w wieku, gdy budzą się instynkta płciowe, ażeby ich uwiadomić co do stanu psychicznego wyjątkowego, w takich razach, i nauczać jak mają postępować, ażeby do zupełnej dojrzałości i możebności zawarcia związków małżeńskich, powstrzymać i hamować budzące się namiętności.

Każdy z nas wie ile to organizmów ludzkich zmarniało i zwyrodniało z tego powodu, że biedne osobniki nie umiały sobie dać rady przy podobnem budzeniu się instynktów.... Na tę okoliczność, niestety, dotąd bardzo mało zwracano uwagę i dlatego to mamy tak dużo ludzi chorych moralnie i fizycznie, i przekazujących (oddających) te choroby na mocy prawa dziedziczności, pochodzącemi od nich pokoleniom.... Ale nietylko my, Polacy, ale i wszystkie inne narody, dotąd nie zwracały należytej uwagi na tę kwestyę.... A pora i czas postawić ją na naczelnem miejscu!

Kwestyę udziału rodziców w sprawie wychowania projektowałem tak załatwić.

Organizować się miały przy każdym naukowym zakładzie towarzystwa pedagogiczne. Do liczby członków tych towarzystw zaliczali się nietylko pedagodzy tych zakładów, ale rodzice i opiekunowie wychowanków, a także i inni obywatele, którzy zechcą się zapisać do tego towarzystwa. Prezesami tych towarzystw nie mogą być ani dyrektor ani profesorowie z tegoż naukowego zakładu, a osoba wybrana z grona ludzi niezależnych. Sekretaryat powierza się z wyboru, jednemu z profesorów.

Na posiedzeniach, które się mają odbywać nie rzadziej jak co dwa tygodnie, członkowie wygłaszają referaty i mają prawo interpelować władze pedagogiczne w sprawach tyczących się tego zakresu, i władze nietylko powinny zdać sprawę, ale wysłuchać uwag członków towarzystwa w kwestyi poruszonej przez interpelanta. Dyrektor zakładu powinien pozyskać zaufanie oddających uczniów do naukowego zakładu na tyle, ażeby oni z chęcią uczestniczyli w pracach towarzystwa. W tych pracach powinno się przedewszystkiem zwracać uwagę i na wykształcenie i uświadomienie samychże członków towarzystwa. Bowiem nie ma nauki mniej znanej w społeczeństwie jak pedagogia, a jednak nikt nie zaprzeczy że ona jest najpotrzebniejszą....

Bo cóż to za ojciec, co to za matka, którzy nie znają pedegogii? A zapytam się nawet tych, którzy raczą odczytać te słów kilka, czy wszyscy oni znają pedagogię? Z pewnością, że ledwie dziesiąty coś o niej słyszał! A w takich towarzystwach volens nolens, będzie musiał sobie przyswoić choć kardynalne zasady nauki.

A że hygiena jest niemożebną bez utrzymywania ciała czysto, więc przy każdym naukowym zakładzie powinny być łazienki dla uczni, których oni stale używają wedle wskazówki lekarza.

To będzie miało dobry wpływ nie tylko na tych co będą w czasie nauki korzystać z łazienek, ale się przyzwyczają do tego i to stanie się ich potrzebą.

I całe społeczeństwo przyzwyczai się do wykonywania tej hygienicznej operacyi, to podniesie zdrowotność powszechną.

Te itp. uwagi, sądzę, są zawsze na czasie — dopóki nie zostaną zrealizowane, więc oto i skreśliłem tę słów kilka.

Marcin Wroński.

PODNIOSŁA SIĘ KURTYNA...

MOJEMU DZIECKU.

Rozległ się odgłos dzwonka, krótki, energiczny.

Gromada chłopców i dziewcząt rzuciła się ku ławkom, wykrzykując i popychając się w pośpiechu, w mgnieniu oka uszykowały się dwa szeregi główek, chłopcy na prawo, dziewczęta na lewo.

W przestronnej izbie szkolnej, w której przed chwilą gotowało się jak w ulu, zapanowała kościelna cisza, tu i owdzie słychać jeszcze stłumione głosy, sunięcie obcasem lub stuk upadającej tabliczki, wreszcie ucichło wszystko. Kilkadziesiąt ustek dziecięcych zamknęło się odrazu, jak gdyby pod działaniem różczki czarnoksięskiej, z tyluż twarzyczek znikło naraz odbicie wesołości, figlów, ustępując miejsca jakiemuś smutkowi i trwodze...

Smutek i trwoga na obliczu dziecka, które od ziemi zaledwie odrosło, które nie zna jeszcze ni głodu, ni chłodu, ni troski o kawałek chleba, ni złości ludzkiej. Dla którego słońce więcej złote od złota, pola i łąki zieleńsze od zieleni, a świat cały taki różowy, pachnący... Kilkadziesiąt par oczu o najrozmaitszych barwach i tonach powiodło niespokojnie po wybielonych ścianach izby, spoczęło ńa chwilę na wielkim portrecie w złoconych ramach, wyobrażającym generała o szumiastych wąsach i marsowej twarzy, ocienionej pikelhaubą i skierowało się ku drzwiom korytarza...

Snać nie była ta pierwsza szkoła dla tego drobiazgu, oderwanego, rzekłbyś, wprost od piersi matczynej, tym rajem, o którym piszą w książeczkach, owym rogiem obfitości, z którego płynąć miały w duszę dziecięcą zdroje światła, zaczątki wiedzy, siejąc ziarna prawdziwej miłości Boga, bliźniego i ojczyzny...

Cisza kościelna zamieniła się w ciszę grobową, wszystkie główki opuściły się niżej...

We drzwiach ukazał się on — ów czarodziejski królewicz, ów pasterz, przewodnik...

Wszedł krokiem ciężkim, miarowym, jak przystało na dzierżcę powagi i władzy, wyrosłego z feldfebla wielkiej ojczyzny. Wysoki, barczysty, z rudym obwisłym wąsem i twarzą rumianą i nabrzękłą od nadmiernego użycia piwa — podobnym był do policyanta z pierwszego lepszego rogu ulicy. Przeszedł wolno pomiędzy dwoma szeregami ławek, trzymając ręce w kieszeniach i nucąc przez zęby. Przystanął na chwilę i zlustrował nieruchome główki spojrzeniem dzikiego kota, czającego się na stado

myszy. Uśmiechnął się z poufałością do portretu, jak gdyby witał życzliwego sobie zwierzchnika, wreszcie zasiadł na katedrze.

Oparł pękatą głowę na tłustej ręce, pokręcając wąsa i hypnotyzując siedzące przed sobą dzieci.

– Schumann! – odezwał się znienacka. Wskoczył prymus, wydobył z pod ławki świeżo ścięty pręt olszyny i podał go nauczycielowi.

Gross obejrzał starannie pręt, spróbował elastyczności, uśmiechając się z zadowoleniem, i uderzył kilka razy po goleniach, jak gdyby siedział na koniu w manesu...

— Schumann! Co zadano?

— Ich bin ein Preusse! odparł prymus, i natychmiast wyrecytował bez zająknienia cały utwór. U pana Grossa wszystko odbywać się musiało szybko, sprężyście, na komendę – jak w koszarach.

– Dobrze! pochwalił. – Następny!

Powstał chłopczyk schludnie ubrany, o pucułowatej buzi i długich lnianych kędziorach, błękitne oczy patrzały łagodnie lecz śmiało przed siebie...

– Ich bin ein Preusse! począł i — zaciął się.

– Dalej! roskazał Gross.

– Kennt ihr meine Farben — jąkał Sobek. Nie poszło mu gładko – lecz jakoś wybrnął, dzięki względnie dobremu jeszcze usposobieniu Grossa, a więcej jeszcze, dzięki dyskretnej pomocy prymusa, swego przyjaciela. Schumann bowiem był synem wachmistrza, Sobek zaś – jedynakiem najzamożniejszego gospodarza we wsi...

– Źle! Napiszesz na jutro dwadzieścia razy! Schumann, zanotój! Następny! I znowu podniósł się chłopczyna, anemiczny i ułomny i począł:

– Ich bin ein Prose –

– Preusse! poprawił Gross.

– Prosse! powtórzył garbusek.

– Ręka!

W matowych oczach garbuska błysnęły łzy. Wyciągnął drobną rączynę...

Z wysokości katedry gwizdnął kij – garbusek z jękiem osunął się na ławkę...

– Ty polski tchórzu! wycedził z pogardą Gross.

Garbusek skurczył się z bólu i ukradkiem spojrzał w stronę dziewcząt. Spotkał roziskrzone oczy dziewczyny, hożej i nad wiek wyrosłej – swej siostry.

Nauka tymczasem trwała dalej – im dalej, tem gorzej. Na czole Grossa ukazały się sine pręgi, pręt pracował coraz częściej, coraz silniej... Jęki dzieci katowanych mięszały się z okrzykami Grossa, padały wymysły

i przekleństwa na pomiot tego podłego plemienia, które Bóg chyba na urągowisko stworzył, i za grzechy ciężkie nauczać kazał... Wreszcie przeszedł przez piekło ostatni chłopiec. Gross powrócił na katedrę, sapiąc ciężko i ocierając pot z czoła. Połowa pracy została dokonana — z dziewczętami szło zwykle łatwiej... Zwrócił się na lewo.

— Witkowska!

Nie ruszyła się żadna.

— Witkowska! wrzasnął.

Podniosła się zwolna siostra garbuska, patrząc Grossowi prosto w oczy,

Pod wpływem tego wzroku stropił się nawet syn wielkiego narodu, który nie boi się nikogo, prócz — Boga...

— Mów! rozkazał przytłumionym nieco głosem.

Dziewczyna milczała.

— Nie nauczyłaś się?

— Nie! — rzekła śmiało.

— Czemu?

— Bo ja nie jestem prusaczka!

Gross wskoczył, jak gdyby go kto rozpalonym prętem smagnął po grzbiecie. Jednym susem stanął przed dziewczyną.

— Nie jesteś prusaczką?! pytał, pieniąc się.

— Nie!

Porwał ją za warkocze i wyciągnął na środek izby. Dziewczyna zacisnęła pięści z bólu.

I znowu świsnął pręt — raz, drugi, trzeci.

— Boże! ratuj! — jęknęła.

Gross tłukł bez litości — i nagle przestał — u ręki jego zawisł Sobek.

— A ty łotrze! Puszczaj!

Sobek nachylił się szybko i ugryzł... z ręki Grossa trysnęła krew.

Puścił warkocze dziewczyny i chciał uchwycić bezczelnego chłopca za kołnierz; lecz Sobek przewinął mu się zręcznie pomiędzy nogami, podbiegł do otwartego okna i jednym susem wyskoczył w pole.

— Zapłacisz mi za to! ryknął Gross, i uchwyciwszy znowu dziewczynę za włosy, począł bezgraniczną złość swoją wywierać na niej. Dziewczyna milczała — poczuł, że całym ciężarem upada na ziemię — puścił warkocze — upadła twarzą na podłogę, jak kłoda...

— Wstawaj! — zawołał ochrypłym głosem, potrąciwszy ją nogą.

Napróżno!

— Wody! wybełkotał zmięszany. Dzieci, struchlałe z przerażenia,

rzuciły się tłumnie ku drzwiom; Gross oparł się o krawędź okna i począł obwijać krwawiący się palec chustką.

W tem za sobą posłyszał gwar – gwar nieokreślony, a złowrogi... Wychylił się z okna – gwar dolatywał coraz silniej, coraz bliżej... I ujrzał w dali tłum ludzi, tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, uzbrojonych w motyki i kije, giestykulujących żywo... Zadrżał.

— Schumann! wybełkotał — leć po rektora! Jednocześnie chciał wybiedz na kurytarz, lecz nie zdołał przedostać się przez tłum dzieci, cisnących się we drzwiach.

Za późno też już było...

Ujrzał kilkanaście głów – na czele Witkowska, ze zwichrzonymi włosami, z podniesioną do góry motyką...

– Co się tu dzieje! – krzyczała, wpadając prosto na niego, – co czynisz ty łotrze?!...

Gross począł się cofać przed naporem, aż utknął przy ścianie, pod portretem.

– Nic się nie stało, — uspokajał — ja im kazałem mówić wiersze, ja mam prawo ich uczyć...

– Uczyć? uczyć? Tyś ich uczył, ty psubracie? A gdzie moja dziewczyna?

Gross spojrzał w bok – wzrok Witkowskiej pochwycił to spojrzenie – ujrzała leżącą bez ruchu dziewczynę...

– A ty łotrze! Zabiłeś ją, zabiłeś!... – i ciężka motyka błysnęła w powietrzu... Lecz w tejże chwili stojący za Witkowską gospodarz, schwycił jej ramię, motyka wysunęła się z ręki i ugodziła w portret rycerza...

Jednocześnie z kurytarza doleciały nowe głosy, we drzwiach ukazał się rektor, a za nim wachmistrz Schumann i czterech żandarmów.

– W imieniu prawa! Co się tu dzieje? Gross, na widok odzierzy, odrazu odzyskał odwagę. Odtrącił pięścią Witkowską, wyskoczył z kąta i schował się za plecy rektora.

– Bunt! panie rektorze, bunt! Napad zbrojny na mnie, królewskiego urzędnika! To ona, ona ich tu przyprowadziła! Chciała mnie zamordować, o, patrzcie, panowie! A potem, o zgrozo, rzuciła się nawet na naszego wielkiego...

– Nie prawda! – zawołał ktoś z tłumu.

-- Milczeć! — rozkazał wachmistrz. — W imieniu prawa — aresztować wszystkich!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Podniosła się kurtyna...

I rozegrał się fragment z życia ujarzmionego narodu, fragment bo-

lesny i krwawy, jak tysiące jemu podobnych, a które łączą się w jedno nieprzerwane pasmo serdecznej niedoli...

Duch hańby rozwinął szeroko czarne swe skrzydła nad świątynią, w której królować miała sprawiedliwość...

Na stopniach kamiennych przed ołtarzem Temidy stanęła niewiasta. Wielką jej zbrodnia!...

Podniosła głowę, przedwczesną siwizną pokrytą, a oczy jasne, zwierciadła czystego sumienia, utkwiwszy w kamiennych postaciach swych sędziów, głosem spokojnym, a rzewnym mówić poczęła:

– Za co sądzić, za co karać mnie chcecie, wy wielcy i silni? Czy za to, że kocham tą ziemię, która mnie wydała, i mowę mej matki? Żem mą krwawicą karmiła me dzieci? Żem je uczyła nie szemrać w niedoli, lecz z pokorą znosić krzyż Pana nad Pany, i wielbić Go tak, jak On mnie wielbić siebie nauczył? A wy mnie karać chcecie — za co? Nie za zbrodnię moją chyba – bo zbrodnią mą największą, żem matką być chciała i była!...

Mówiła długo i rzewnie, rzucała się do nóg sędziom surowym, by ją puścili – nie dla niej –– dla dzieci... Dla jej dzieci, które w domu mrą z głodu...

Lecz sędzia o twarzy kamiennej nie drgnął...

– Na pohybel ci niewiasto! Na pohybel ci za to, żeś matką być chciała! My znamy tylko prawo – obca nam litość...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przed drzwiami gmachu, w którym toczyła się sprawa, stało zbiedzone, ułomne pacholę i czekało na matkę.

– Dziś ją uwolnią! mówili dobrzy ludzie. Tak! Napewno ją uwolnią! Gdy się zlituje nad pacholęciem i czworgiem drobnych piskląt w domu. Gdyby nie dobrzy ludzie! Dawno by już wynieśli je w trumienkach za kościół...

Tak! Dziś już napewno matuś wróci, nakarmi i ogrzeje; będzie wesoło w domu, jak dawniej bywało nim matuś związali łańcuchem i powlekli... Chłopczynie serduszko bije młotem, – i wspina się do dziurki od klucza – może ujrzy matuś... Chciał wsunąć się do wnętrza, lecz pan w mundurze go odpędził... Więc czeka.

I oto drzwi rozwierają się szeroko, i wychodzą ludzie, milczący, posępni... Odepchnęli chłopczyka — przytulił się do ściany – serce w nim zamiera – byle nie przepuścić matuś...

Wyszli już wszyscy – a matuś niema. Jakiś pan w czarnym płaszczu z teką pod pachą, wychodzi ostatni... Poznał go chłopczyna – to pan adwokat! Był wczoraj u nich, dał na chleb i na węgle, i powiedział, że matuś napewno, napewno jutro wróci...

Chłopczyk uczepił się płaszcza.

– Panie! wyjąkał, dławiąc się od płaczu, – a gdzież moja mama? Pan schylił się nad dzieckiem, położył rękę na główce, a z jasnych oczu popłynął strumień łez... Wziął chłopczynę za rękę i wyrzekł łagodnie:

– Chodź ze mną, dziecino...

OD REDAKCYI.

Od dzisiejszego numeru rozpoczynamy wydawnictwo dodatku, poświęconego sprawom podniesienia moralności obyczajowej, oraz zwalczania nierządu i handlu kobietami w niezliczonych jego przejawach. Dodatek ten, którego redaktorem będzie dr Wróblewski, otrzymywać będą prenumeratorowie „Nowego Słowa“ bezpłatnie. Można go będzie również prenumerować osobno jako odbitkę za 2 kor. rocznie. Cena egzemplarza 10 hal.

Przypominamy koniec kwartału prenumeratorom zalegającym z przedpłatą. Prosimy usilnie o rychłe odnowienie prenumeraty na następny kwartał, ponieważ musimy walczyć z wyjątkowymi trudnościami materyalnemi.

Nowela, którą drukujemy dzisiaj, była przysłana na konkurs, ale spóźniona. Drukujemy ją poza konkursem.

Rozstrzygnięcie konkursu 1-go lipca.

Drukarnia Wł. Teodorczuka w Krakowie, Zielona 7.

Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma. Z drukarni Wł. Teodorczuka w Krakowie.